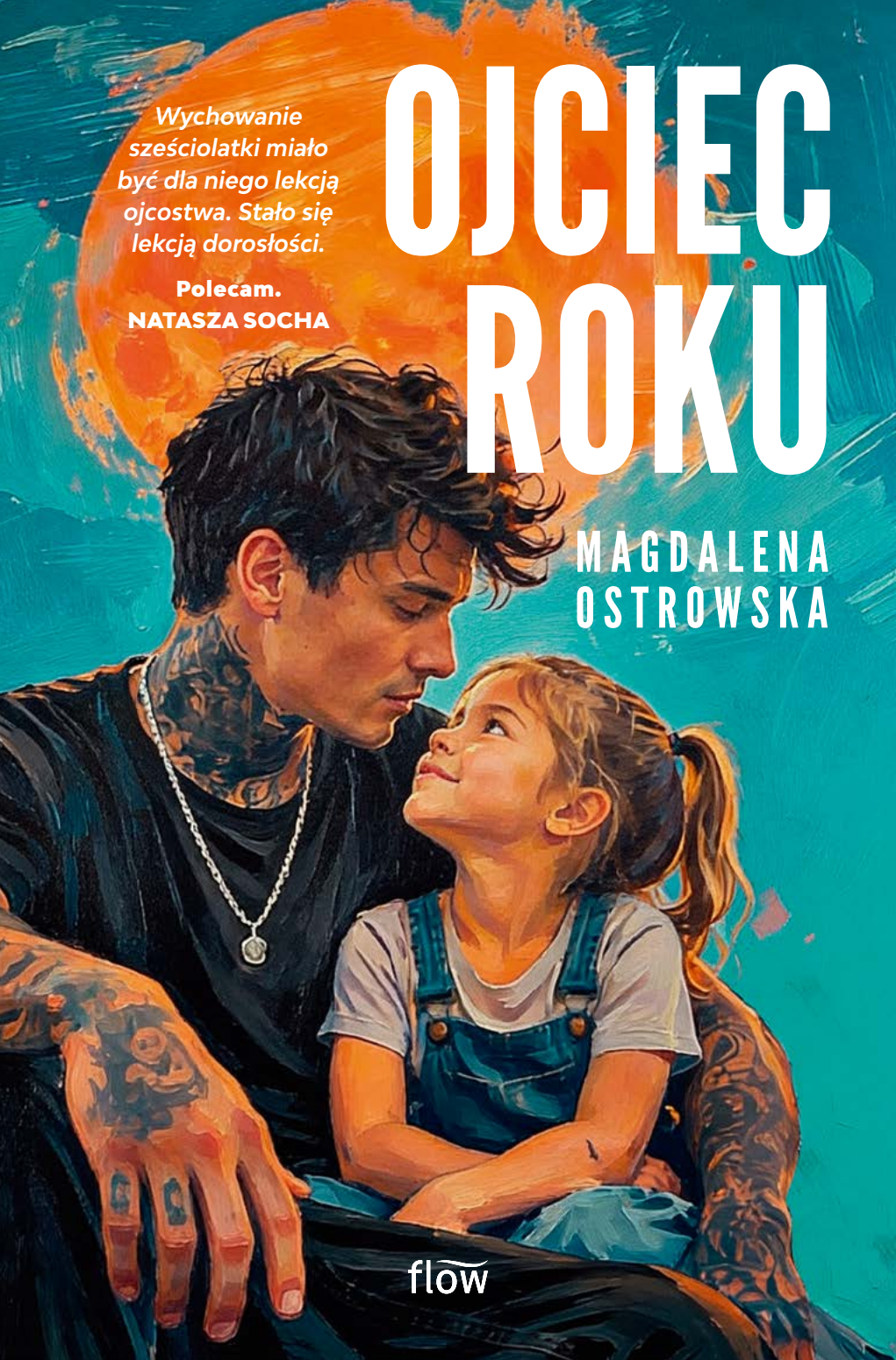
Wychowanie sześciolatki miało być dla niego lekcją ojcostwa. Stało się lekcją dorosłości.

Polecam.
NATASZA SOCHA

OJCIEC ROKU

MAGDALENA OSTROWSKA



flow

OJCIEC ROKU

MAGDALENA
OSTROWSKA

OJCIEC ROKU

flow

Projekt okładki:
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl

Ilustracje w książce:
2077145199, 760414636 / AdobeStock

Redakcja:
Agata Bizuk

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Korekta:
Anna Żochowska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I, Gdańsk 2026

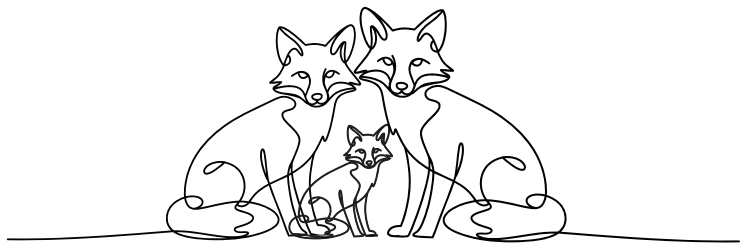
Copyright © 2026 by Magdalena Ostrowska-Dołęgowska
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-224-6

Druk i oprawa:
Abedik SA

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl



1. **Eksplozja atomowa**

Pod koniec sierpnia moje życie zalicza eksplozję atomową.

Nie, żeby wcześniej było szczególnie poukładane. Bo jak masz dwadzieścia cztery lata, nie zdałeś matury, pracujesz w remontach i mieszkasz z gnojami, którzy na trzecim roku studiów koszą więcej hajsu niż ty, to trudno powiedzieć o twoim życiu dobre rzeczy. Ale takiego *big bang* nie spodziewałbym się za Chiny Ludowe.

Ze snu wyrywa mnie telefon. Przez chwilę myślę, że to budzik, bo w końcu jest weekend, a ja ledwie parę godzin wcześniej wróciłem z klubu, gdzie dorabiam jako barman, więc nie ma powodu, żeby ktokolwiek zawracał mi głowę. Zerkam na wyświetlacz, mrużąc oczy, czy to nie jakaś fotowoltaika albo inne bzdury, ale ku mojemu bezbrzeżnemu zdziwieniu, dzwoni Marta.

Moja była.

Wielka miłość, która pięć lat temu dała mi brutalnego kosza.

Jedynym, co wciąż nas łączy, są alimenty, które płacę jej na dziecko.

Tak, moje dziecko. I nie moje jednocześnie, bo Marta nie chciała żadnych rodzin patchworkowych i poprosiła, żebym się nie mieszał.

– Halo? – pytam zdezorientowany i wciąż nierozbudzony.

– Hej. – Słyszę jej głos. Działa lepiej niż espresso. – Słuchaj... Potrzebuję twojej pomocy. Podasz mi adres?

Mrugam, jakby to miało pomóc jej słowom wpasować się w odpowiednie dziurki w moim mózgu.

Pomocy?

Od pięciu lat kontaktujemy się praktycznie tylko przez przelewy, które wychodzą z mojego konta. Na początku jeszcze pisała mi krótkie „Dzięki", ale potem sobie darowała. Nasze rozstanie było jednym szybkim cięciem. Tylko raz, jakieś trzy lata temu, gdy akurat było u mnie kurewsko krucho z kasą i przelew nie wyszedł na czas, zadzwoniła, żeby niby zapytać, co u mnie. Że rozmowa się nie kleiła, to mało powiedziane.

Podaję jej ten adres w oszołomieniu i nawet nie wiem, jak zapytać, czego potrzebuje. Przekierować kuriera, kurwa?

– Mieszkasz sam?

Rozdziawiam gębę.

– N-nie... – wyduszam.

– Z jakąś laską? – Nie ustępuje.

Zaczyna mnie irytować to przesłuchanie. Co jej nagle do tego?

– Nie, jest nas tu pięciu, bo co?

Milczy przez chwilę, a gdy słyszę w tle dziecięcy głos, skręca mi się żołądek.

– Potrzebuję... Potrzebuję, żebyś się zajął Tosią – wali prosto z mostu, a ja o mało co nie spierdalam się z łóżka. Próbując usiąść, rąbię się nogą w krzesło tak mocno, że chyba łamię mały palec. – Jesteś w domu?

Łapię powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. Tętno mam chyba ze dwieście.

– Patryk, proszę cię, mów do mnie – irytuje się Marta.

– Jak... zająć się? – pytam, kompletnie zbity z tropu i krzywię się, ściskając stopę.

– Mama miała wypadek. Złamała biodro, a we wtorek wylatujemy. Proszę cię, mogę przyjechać?

Nie odpowiadam. Mam chyba jakiś stan przedzawałowy albo wylew.

– Będę za godzinę – decyduje za mnie.

– Okej – wyduszam ledwie, a ona po prostu się rozłącza.

Palec boli jak diabli, ale to teraz najmniejsze zmartwienie. Wstaję i idę do kibla, bo mnie goni z tego stresu. Miałem trzymać się od Tośki z daleka. „Chcę mieć czysty start", powiedziała. „Rozumiesz? I tak nie nadajesz się na ojca."

Zgadzałem się z nią w pełni. Bo jaki facet się do tego nadaje, kiedy ma osiemnaście lat?

Próbowałem. Znosiłem wszystkie jej humory w ciąży, zamieszkałem u jej rodziców, choć ojciec szczerze mnie nienawidził i okazywał to na każdym kroku. A po dwunastu miesiącach koszmarnych zmagań usłyszałem, że to nie ma sensu. Byłem tylko gnojkiem bez perspektyw, a Marta miała rwanie mimo cudzego bachora. Chciała

normalnego życia, a ja się w nim nie mieściłem. Czułem się jak zużyta gumka, ale zaakceptowałem to, bo jaki miałem wybór?

Myję ręce i gapię się na swoją twarz w lustrze. Czerwone ślepia, potargane włosy. Wyglądam jak licha kupka nieszczęścia. Chociaż tyle, że się wczoraj ogoliłem.

Tosia miała nawet nie wiedzieć o moim istnieniu. Marta od początku naciskała na to, by nosiła jej nazwisko, jakby dobrze wiedziała, w którą stronę się to potoczy. Nie mam pojęcia, jak ona sobie to teraz wyobraża. Chodź, córeńko, zostaniesz przez parę dni u takiego pana. Chuj, że nie widziałaś go na oczy, przynajmniej w świadomym życiu, bo co może pamiętać niemowlak?

Przysysam się do kranu, bo w gardle mam Saharę.

Dobra. Niech przyjedzie. Zobaczy, jak mieszkam i zaraz jej przejdzie – myślę, żłopiąc wodę. Przemywam twarz i spoglądam na siebie raz jeszcze.

Najgorsze, że zawsze byłem wobec Marty totalną pizdą. Wystarczyło, że popatrzyła na mnie tymi swoimi oczami i byłem gotów oddać jej nerkę i pół wątroby.

Okej, minęło pięć lat – myślę, gapiąc się na kroplę, która formuje mi się na czubku nosa. – Teraz będę twardszy.

Wycieram twarz i wracam do pokoju. Z kuchni dochodzą jakieś odgłosy i nie wiem, czy chłopaki jeszcze jedzą kolację, czy już śniadanie. Kilka dni temu powracały z domów, choć do rozpoczęcia studiów jeszcze cały miesiąc. Ale przecież który z nich by odpuścił tak idealną okazję do niekończących się imprez i chlania, jaką stwarza wrzesień? Jakoś bardzo mi to nie przeszkadza. I tak w weekendowe

noce jestem w robocie, a w tygodniu wracam ujebany po pachy i śpię jak noworodek.

Krążę, kuśtykając i próbuję trzeźwo przemyśleć tę sytuację.

Jak jej powiem, że jej córka musiałaby tu zostać na noc z bandą imprezowiczów, zaraz odechce jej się mojej pomocy.

„Jej córka". Dokładnie tak nauczyłem się myśleć.

Gdy rozlega się dzwonek, jestem już znacznie spokojniejszy. Po prostu pogadamy, zobaczy, że nic z tego i nara. Zakładam spodnie i koszulkę, po czym idę otworzyć. Chłopaki łypią z ciekawością z kuchni, bo nigdy nie miewam gości. Nie przyprowadzam dziewczyn, rodziny, znajomych. Jestem najlepszym współlokatorem pod słońcem.

Serce znowu skacze mi do gardła, a gdy otwieram drzwi i staję z Martą twarzą w twarz, muszę się opanować, żeby nie wyglądać jak zestrachany kurczak. Jest najładniejszą laską, jaką spotkałem w życiu. Śliczne blond włosy, niebieskie oczy, dołeczek w lewym policzku. Wyższa od innych dziewczyn o głowę i cholernie zgrabna. Dawno, dawno temu nie śniło mi się nawet, że mógłbym ją pocałować. A potem to właśnie przeze mnie skończyła z brzuchem. Ani trochę się nie zmieniła. Spuszczam wzrok na kryjące się za nią dziecko i jestem totalnie zesrany. Kurwa. Wzięła ją, żeby na mnie wpłynąć? Żebym nie mógł jej odmówić?

Wychodzę boso na klatkę i zamykam za sobą drzwi.

– Sorry, nie zaproszę cię, bo chłopaki jeszcze balują. Nie ma warunków.

Marta gapi się na mnie, mrużąc oczy i myśli nad czymś intensywnie.

– Idź na razie na trzepak, rybko – zwraca się do Tośki. – No, już – ponagla ją, widząc, że dziecko wcale nie ma na to ochoty.

Mała ma ze sobą różowy tornister i kurczowo trzyma potarganą blond Barbie. Odprowadzam ją wzrokiem, gdy schodzi niechętnie po schodach. Wygląda jak najsmutniejsze dziecko świata.

Nic dziwnego. Na jej miejscu też nie chciałbym zostać z obcym typem.

Gdy jesteśmy już sami, patrzę na Martę pytająco, ale ona nic nie mówi.

– Mieszkam ze studentami – tłumaczę, udając wyluzowanego. – Wrócili właśnie po prawie dwóch miesiącach rozłąki, więc będą teraz balować dzień w dzień. Kiepskie warunki, żeby przechować tu dziecko, zwłaszcza w weekend.

– Wyjeżdżam – mówi, jakby w ogóle mnie nie słuchała. – Z Pawłem.

Gapię się i czekam na dalszy ciąg, bo nie kumam, co to ma wspólnego ze mną.

– Tata jest na morzu i wróci dopiero przed świętami, a mama będzie miała operację i zostanie w szpitalu na dłużej, potem będzie potrzebowała pomocy – ciągnie, a ja wciąż próbuję dodać dwa do dwóch. – Musisz wziąć Tosię.

Mój mózg się zacina i zastygam z otwartymi ustami. Kółko się kręci. I kręci.

– Nie wiem, ile to potrwa. Ale jestem pod ścianą, rozumiesz?

Trwa odliczanie. Dziesięć, dziewięć, osiem...

– Nie możemy jej zabrać – dodaje Marta, widząc najwyraźniej, że mój mózg kiepsko sobie radzi. – Musimy się tam najpierw ogarnąć, rozumiesz?

Trzy, dwa jeden. Eksplozja.

– N-nie... Myślałem, że... Mówiłaś... Że wylatujecie we wtorek... – bełkoczę.

– Tak. We wtorek. Kupiliśmy bilety dawno temu. Nie mogę jej zabrać – wyjaśnia, tym razem powoli, jakbym był jakimś półgłówkiem.

– I chcesz ją tu... zostawić? – wyduszam.

Marcie opadają ramiona.

– Weź ją chociaż do świąt... maksymalnie na pół roku – mówi, nie spuszczając z tonu. – Potem mama ją zabierze, jak już stanie trochę na nogach. My z Pawłem ogarniemy pracę, mieszkanie i zdejmę ci z głowy ten straszliwy ciężar – mówi jadowicie.

A ja nie wiem, co odpowiedzieć.

– Marta, ja mieszkam z czterema innymi typami! – tłumaczę jej raz jeszcze, jakby nie pojęła. – Oni tu chleją i sprowadzają sobie dupy! A ja skończyłem dziś pracę o czwartej. Jak ty to sobie wyobrażasz?

Wkurzam się na siebie, że podniosłem głos. Stoimy w końcu pod drzwiami. Chłopaki i tak już pewnie mają niezły ubaw. Odciągam więc Martę i schodzimy niżej, na półpiętro.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy. Przez wielkie okno wpada dużo światła. Oświetla cały ten kamieniczny syf. Potłuczone kafelki, zbyt wiele razy malowany parapet, wydrapany kluczami napis: Arka Gdynia Kurwa, Świnia.

– Nie przyszłabym tu, gdybym miała wybór – mówi chłodno.

Wciąż nie dowierzam, że to dzieje się naprawdę.

Do świąt?!

– Dlaczego jej nie zabierzesz? Dokąd w ogóle jedziecie?

– Do Australii! – Unosi się. – Nie mam pojęcia, jak tam będzie. Potrzebujemy czasu na start.

– Do... Australii?! – Aż się zapowietrzam. – Kurwa, żartujesz?! I co ja zrobię, jak ona będzie za tobą wyć? Mam ją wsadzić w samolot z pierdolonymi pięcioma przesiadkami? – Wkurzam się nie na żarty.

– Po prostu się nią zajmiesz – mówi z naciskiem, wbijając mi palec w pierś. – Jak ojciec swoim dzieckiem.

– Powiedziałaś, że nie nadaję się na ojca! – Wywalam jej. – Nagle zmieniłaś zdanie?

Marta przewraca oczami.

– Mam ją, do cholery, oddać do sierocińca, bo tatusiowi korona z głowy spadnie?

– Powiedziałaś, żebym spadał – mówię ciszej, bo zaraz naszą historię będzie znała cała kamienica. – Że i tak gówniany ze mnie ojciec i miałaś rację – tłumaczę nerwowym półszeptem.

– Boże! Skończ już, dobra? Nie chciałam, ale teraz cię potrzebuję. Możesz choć raz zachować się jak dorosły? Proszę cię o pierdolone pół roku! To twoja córka! Wolisz, żeby trafiła do ciotki Aliny?

Jasne. Kolejny potwór. Siostrzyczka ojca, a jedno lepsze od drugiego. Gdy dowiedziała się o ciąży, powiedziała Marcie, żeby wyskrobać w pierwszym trymestrze, bo tylko

patologia ma dzieci przed osiemnastką. Boli mnie brzuch na samo jej wspomnienie.

– Słuchaj... to wasza sprawa. Wyślij Pawła, niech on ogarnie sprawy, a ty do niego dojedziesz z Tośką.

– Jesteś żałosny, wiesz? – Spogląda na mnie i jest bliska płaczu. – Byłam przy tobie dzień po dniu, kiedy chorowała twoja mama. Dzień po pierdolonym dniu! – Wyrzuca mi w twarz. – A ty teraz nie możesz zrobić jednej rzeczy, żeby mi pomóc?!

– Ale, Marta! Prosisz o strasznie dużo! Ja nie umiem zajmować się dzieckiem! Sama kazałaś mi spadać!

– Przestań pieprzyć! Słyszałam to już, okej?

Moja była wielka miłość siada na schodku i ukrywa twarz w dłoniach. Klękam przed nią, jak jakiś palant i dusi mnie w gardle. Jeśli się poryczy, to pęknie mi serce. Czuję się największym mięczakiem na świecie, ale kurwa, po prostu nie potrafię znieść jej łez. To prawda, że była przy mnie w najtrudniejszym momencie życia. Gdy umierała moja mama, kiedy ojciec zaczął pić. Była moją latarnią morską i tylko dzięki niej się nie pogubiłem. Przynajmniej nie tak do końca.

– Nie potrafię być ojcem, okej? Ciągle mnie nie ma. Tego chcesz dla swojej córki? – Próbuję odgarnąć jej kosmyk, ale odtrąca moją dłoń i wbija we mnie wzrok.

– Pół roku maks – powtarza, tym razem trochę bardziej błagalnie. – Chodzi do zerówki. Zaprowadzisz ją i możesz iść do pracy. Można ją późno odbierać. Jest grzeczna. Załatwię wszystkie formalności.

Patrzę jej w oczy i już wiem, że przegrałem. Dokładnie tak samo było wtedy. Nie chciałem się rozstawać. Kurewsko

ją kochałem, była dla mnie całym światem. Nawet, jeśli non stop się żarliśmy i jej ojciec uważał mnie za frajera i gówniarza. Ale nie okazałem się wystarczająco dobry. A teraz jestem ostatnią deską ratunku.

Nie przyszłabym tu, gdybym miała wybór.

Nie widziałem jej od tamtego czasu. Od pięciu lat. „Tak będzie lepiej", powiedziała. „Ty też będziesz miał lepszy start. Niektóre rzeczy trzeba odciąć."

Kiwam głową, bo nie jestem w stanie wydusić ani słowa. A Marta się uśmiecha i mnie to, kurwa, rusza. Palant.

– Pójdę do samochodu po jej rzeczy – mówi. – Paweł czeka na dole.

– T-teraz? – jęczę z niedowierzaniem.

– Mamy jeszcze cholernie dużo rzeczy do załatwienia przed wyjazdem i w związku z mamą. Wszystko się spieprzyło na ostatnią chwilę... Naprawdę ratujesz mi skórę...

Patrzy na mnie z wdzięcznością, a ja wkurwiam się na siebie, że taka ze mnie miękka faja. Chłopaki posrają się ze śmiechu. Posyła mi uśmiech. Taki, jak kiedyś, jak jeszcze było między nami dobrze. A potem, nie czekając już na żadne moje „Okej", zbiega na dół. Słyszę jej kroki i jestem jak ogłuszone cielę. Zwlekam się na parter. Tośka siedzi na schodku ze zwieszonym nosem i nawija na paluszek sfilcowane włosy swojej Barbie. Gapię się na nią i wszystko się we mnie buntuje. Nie wyobrażam sobie, że mam ją zabrać na górę, do tej kiszki, którą trudno nawet nazwać pokojem. Nie mam pojęcia, co będziemy robić. Chcę uciec. Iść spać i obudzić się za te pół roku.

Marta wraca z dużym plecakiem i torbą. Stawia je obok mnie i kuca przy Tosi.

– Wrócę, jasne? – Podnosi jej bródkę, zmuszając, żeby mała popatrzyła jej w oczy. – Obiecuję – Uśmiecha się do niej czule. – A na razie pomieszkasz z Patrykiem. Zobaczysz, będzie fajnie.

Z Patrykiem. Super.

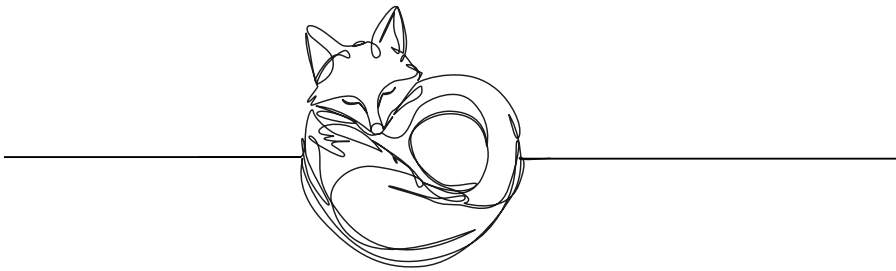
– Będzie cię prowadzał do przedszkola, do twojej pani Małgosi. – Milknie i sprawdza, jak Tosia reaguje, ale ona ma buzię w podkówkę. Jest żałośnie pogodzona ze swoim losem tak, jak ja. – Będzie z tobą chodził na plac zabaw. – Zerka na mnie. – I może weźmie cię na kajak. – Chcę się odezwać, ale wciąż brakuje mi języka w gębie. – Szybko minie. A potem zabiorę cię do kangurów. – Całuje ją w czoło i wstaje, posyłając mi jeszcze jedno spojrzenie.

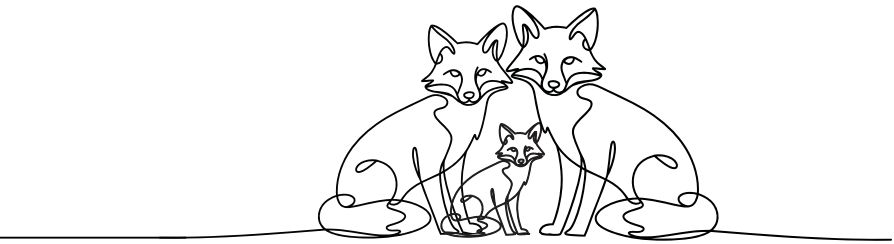
– Wyślę ci... instrukcję obsługi – Uśmiecha się kwaśno. – Gdzie zerówka, numery telefonów, na co ma alergię. Takie tam.

Nie reaguję. Nie mam siły.

– Dzięki – mówi i odchodzi, a ja zostaję z najsmutniejszą sześciolatką świata.







2. **Demony**

– Ten ultralachon to twoja siostra? – pyta Kamil, gdy na autopilocie szykuję tosty.

Zgarnąłem Tosię do swojej klitki, zamknąłem ją tam i przyszedłem do kuchni. Jedną z ostatnich rzeczy, na które mam ochotę, jest wysłuchiwanie tekściorów chłopaków, ale już całkiem ostatnią jest siedzenie tam teraz z przeżywającą dramat dziewczynką. No bo co ja mam z nią, do kurwy nędzy, zrobić? Nadal do mnie nie dociera, że się na to zgodziłem. I że nie na weekend, na tydzień czy miesiąc. Marta po prostu zwaliła mi to kukułcze jajo na łeb z zaskoczenia i bez zapowiedzi, a ja to łyknąłem jak młody pelikan.

Oczywiście od samego początku, kiedy tylko przekraczam próg kuchni, typiarze, z którymi dzielę mieszkanie, zaczynają się prześcigać w głupich żartach. „Dupa z nogami do samej szyi" wzbudziła wielką sensację. To, że wróciłem z dzieciakiem, chyba jeszcze większą. No to kłamię bez zająknięcia, że to moja siostra i poprosiła, żebym się zajął jej córeczką.

– Kurwa, stary, umów mnie! – Kamil nie odpuszcza.

Nakładam ser na szynkę i dopiero teraz widzę, jak trzęsą mi się łapy. W gębie sucho i chyba skoczyło mi ciśnienie.

– Nie śliń się – wyduszam, próbując udawać wyluzowanego. – Jest w szczęśliwym związku.

Kamil wzdycha teatralnie, a ja pcham kanapki do tostera.

– Spokojna dupa, Kamilek! Nie ma takiego wagonika, co by się go nie dało odczepić – śmieje się Piotrek, ale ja nie uczestniczę w ich konkursie na głupie odzywki. Czekam na tosty, przeżywając w duchu swój dramat. Zaczyna do mnie docierać. Pomału.

Kurwa.

Nie mam nawet porządnego jedzenia. Żywię się tostami na śniadanie, obiad i kolację. Odkąd wprowadził się do nas Dmitrij z Białorusi, do mojego menu trafiły jeszcze ziemniaki i cebula, które gość kupuje na skrzynki i zawsze każe nam się częstować. Mówi taką pożal-się-boże polszczyzną, że nie mam pojęcia, jakim cudem daje radę na studiach. Najwyraźniej jednak nie trzeba ogarniać polskiego, żeby studiować. Szkoda, że ci, którzy uwalili mnie na maturze, o tym nie wiedzieli.

Dima i Kamil mieszkają tu od roku, Bartek i Piotrek od początku. Zgrali się, jakby pochodzili z jednej wiochy i łazili za dzieciaka nad ten sam stawik strzelać z procy do żab. Ja trzymam się trochę na uboczu. W tygodniu siedzą do późna, wpieprzają tosty i gadają o laskach i programowaniu. Ja wracam zwalony po robocie i często ścina mnie zaraz po kolacji. W weekendy, kiedy imprezują, robię takim

jak oni drinki. Oni są w tej naszej „komunie" przez parę lat, ja pewnie zostanę tu jeszcze długo, zanim uzbieram na swój kąt lub choćby pieprzoną dziuplę dla wiewiórek. Tylko studenci będą się zmieniać.

– *Twoj zawtrak gorit, Patiuszka*! – Dima mnie trąca, przepychając się do śmietnika.

Nie wiem, o czym mówi, więc wskazuje brodą na toster, z którego już zaczyna się wydobywać dym. Klnę pod nosem i szybko wyciągam trochę za bardzo spieczony chleb. Na szczęście to głównie ser się przyjarał. Parzę się oczywiście w paluchy, zamiast jak człowiek wyjąć ten tost widelcem, a Dmitrij się ze mnie chichra.

– Ty rozkojarzony – mówi z silnym akcentem.

– Trochę – przyznaję.

Przekładam tosty na talerz i zalewam herbatę w kubku ze słonikiem Dumbo, który został po Norbercie, poprzednim lokatorze. Postanawiam, że zadzwonię do Marty. Bo co to w ogóle ma, kurwa, być, że wpada tak do mnie i zostawia mi dziecko? Jak ona to wymyśliła, to nie wiem. Zamiast dać mi się z tym oswoić, ogarnąć sprawy, po prostu zwala mi to na łeb i myśli, że będzie okej. Nie, kurwa. Nie jest okej. Jest cholernie daleko od okej.

Biorę te tosty i herbatę. Szurając kapciami, niosę je do swojego pokoju, a serce mi wali, jakby szykowało się do startu w kosmos. Tośka siedzi dokładnie tak, jak ją zostawiłem. Nawet tego tornistra nie zdjęła. Męczy lalkę i ciągle wygląda strasznie żałośnie. A ja jeszcze bardziej wkurwiam się na Martę. Nie mam pojęcia, co jej powiedziała, ale dla małej jestem po prostu obcym facetem. No, tak się nie robi.

– Jadłaś śniadanie? – pytam, a ona kręci głową. – To zjedz, a ja pójdę zadzwonić do twojej mamy. I zdejmij ten plecak.

Stawiam herbatę i te nieszczęsne tosty na stole, na którym panuje totalny rozpierdol, a potem zakładam buty i wychodzę. Idę do parku, żeby ochłonąć, siadam na ławce i gapię się na gołębie, które odtańcowują przed sobą jakieś gruchu-gruchu. Marta odbiera po piątym sygnale.

– Co tam? – pyta, jakby nigdy nic.

– Co jej powiedziałaś?

– Że to tylko na jakiś czas.

– I kim ja, niby, jestem?

Jeden z gołębi podchodzi i gapi się na mnie, jakby chciał zapytać, czy nie mam bułki.

– Przyjacielem.

Słyszę, że jest ze mną w tej rozmowie tylko na wpół obecna. Robi coś innego.

– Nie mogłaś chociaż mnie z tym oswoić? Dać mi z tydzień? Poznać nas?

– Boże, Patryk... Mówiłam ci przecież, że to *emergency* – mówi trochę zirytowana. – Mama spadła ze schodów. Dwa dni temu. Wszystko się zesrało. Musiałam improwizować. Będzie teraz w szpitalu i nie mam pojęcia, jak długo. Ma połamane biodro i uszkodzoną miednicę.

– I ją też z tym zostawiasz – mówię z wyrzutem. Słyszę jak wzdycha.

– Zainwestowałam mnóstwo kasy, żeby tam jechać. Postawiłam wszystko na głowie.

O tak, postawiłaś – myślę w duchu.

– Panie w przedszkolu będą wiedziały, kim jesteś. Wysłałam im też twój numer.

Ot, i temat zamknięty.

– Idź z nią na plac zabaw, kup jej jakąś lalkę, zabierz na gofry. To dziecko. Żadna fizyka kwantowa. Tylko pilnuj, żeby nie jadła czekolady, bo dostaje strasznej wysypki. Wrzuciłam ci książeczki, blok rysunkowy i kredki. Ona umie się bawić sama. A jeśli będzie płakać, to po prostu ją przytul. Okej?

Nie odpowiadam. Gapię się na tego bezczelnego gołębia. Kręci łebkiem i obserwuje mnie jednym okiem.

Nie. Nie okej. Nie-o-kej.

– Możesz dzwonić, jak czegoś nie będziesz wiedział. Tylko tam jest osiem godzin różnicy.

– Dobra. Muszę wracać – mówię pokonany.

– Poradzisz sobie.

– Jasne. Na razie.

Rozłączam się, nie czekając już na jej pożegnanie. Jestem jak mokra szmata do podłogi, a nawet się jeszcze porządnie nie obudziłem. Patrzę jak jeden gołąb próbuje dosiąść drugiego i myślę, jakim byłem durnym nastolatkiem. Teraz jestem o parę lat starszy, ale nadal mi jakoś nie przeszło. Dopiero tu, na tej ławce, czuję jak dopada mnie fala paniki. Nie ma odwrotu. Mam w pokoju dziecko, które zależy teraz ode mnie. Nikt go nie zabierze, nikt nie ogarnie. Nie mogę przespać tego pół roku.

Jak coś jej się stanie, Marta mnie zapierdoli, – myślę.

Albo wpakuje na resztę życia do pierdla.

I to wcale nie brzmi teraz tak źle.

Zwlekam się jak na ścięcie. Po drodze do domu dzwonię do Andrieja, mojego szefa od remontów i mówię mu, że w poniedziałek nie będę na ósmą. Raczej dziewiąta i będę się musiał zmyć pewnie koło trzeciej, może czwartej. Jeszcze nie wiem.

Nic nie wiem.

Na razie mu nie mówię, że w ogóle będę musiał tę robotę przeorganizować, bo mam dziecko. Muszę to najpierw przemyśleć, wykombinować, co teraz. Sterczę, gadając z nim i gapię się na swoje odbicie w witrynie cukierni. Potargane włosy i pierdolona koszulka na lewą stronę. Ani Marta, ani te jebane śmieszki mi nie powiedziały. Kończę rozmowę i stwierdzam, że może kupię Tośce jakiegoś pączka czy coś. Młoda ekspedientka, której nie kojarzę, powstrzymuje się od śmiechu, patrząc na tę moją koszulkę, i nie komentuje, ale widzę w jej oczach. Gdybym nie płacił telefonem, pewnie wzięłaby mnie za jakiegoś bezdomnego.

– Podobno niezdrowo zaczynać dzień od słodyczy. – Uśmiecha się uroczo.

Zaskoczyła mnie.

– T-to dla córki... Zaczęła od tostów – tłumaczę się głupio, a ona szczerzy się szerzej.

No, kurwa, ojciec roku.

Zgarniam pączka, którego zapakowała mi w ładny, różowy kartonik i odpowiadam sztucznym grymasem, który nawet nie leżał obok uśmiechu.

– Smacznego.

– Dzięki.

Wbiegając na drugie piętro swojej kamienicy, oczywiście, kurwa, upuszczam tego pączka. Na szczęście kartonik tylko się trochę gniecie, ale ja i tak czuję się jak ostatnia oferma. Jestem jak pieprzona, przebudzona na wiosnę mucha, która obija się o szyby i nie bardzo wie, co się wokół niej dzieje. Tak, jestem muchą.

Tosia nawet nie tknęła tostów. Pączka też ma gdzieś. Jedyny plus jest taki, że zdjęła ten nieszczęsny plecak i buciki z Hello Kitty. Położyła się na łóżku, zwinęła w kulkę, odwróciła do ściany i beczy. Beczy po cichutku, ale słyszę jak wciąga smarki nosem. Siadam więc za nią i patrzę na te małe plecki i spięte w kitkę ciemne włoski. Są cieniutkie i się kręcą, więc wyłażą z tej kitki na wszystkie strony. W kilku miejscach tkwią różowe spineczki.

Może gdybym miał syna, byłoby łatwiej. Wiedziałbym, co teraz robić.

Jasne – odpowiada szyderczy głos w mojej głowie.

– Kupiłem ci pączka – mówię do tych małych plecków.

Zero reakcji.

Zajebiście.

– Chcesz?

Nadal nic.

Gapię się więc na ten pognieciony kartonik, co mi upadł na schodach i myślę, że na jej miejscu też bym miał tego pączka w dupie. Matka zostawia cię w obcym miejscu z jakimś wytatuowanym gościem, którego nie masz prawa pamiętać, bo ostatnio brał cię na ręce, jak miałaś roczek. Jeśli ja jestem ojcem roku, to Marta jest mamusią pierdolonego stulecia. Tak właśnie funduje się dziecku traumę na

całe życie. Widzę to, czuję każdą komóreczką ciała i chuj mogę zrobić. Nie umiem w te klocki. Jestem emocjonalnym troglodytą. I teraz naprawdę zaczynam myśleć, że pewnie lepiej by się nią zajęli w sierocińcu. Może nawet ta głupia ciotka Alina byłaby lepszą opcją.

– Chcesz sobie popłakać?

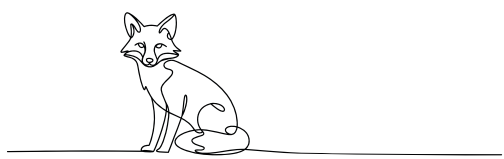
Nie odpowiada, ale i tak chyba nie mamy wyboru.

– Przyzwyczaisz się – mówię bardziej do siebie niż do niej. – Człowiek potrafi się do wszystkiego przyzwyczaić. Nieważne, jak jest chujowo.

Sięgam dłonią, żeby poklepać ją po ramieniu, ale rezygnuję.

Obcy typiarz – przypominam sobie.

Pewnie nie tylko czuje się porzucona, ale też się mnie boi. Odkładam więc pączka na blat i przykrywam ją kocem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułem się tak strasznie bezsilny. Zostawiam ją, zakładam buty i wychodzę, ciągnąc za sobą moje wszystkie demony.



flow

wydawnictwoflow.pl

Patryk był przekonany, że zmarnował swoje życie. Nie spodziewał się, że największą szansę dostanie od... sześciolatki.

Nie zdał matury. Pracuje przy remontach. Mieszka ze studentami. Żyje z dnia na dzień, przekonany, że dla takich ludzi jak on szczęśliwe zakończenia po prostu się nie zdarzają.

Aż do chwili, gdy musi ponownie odnaleźć się w roli ojca.

Sześcioletnia córka wywraca jego świat do góry nogami. To, co miało być obowiązkiem, szybko staje się najważniejszą relacją w jego życiu. Tyle że miłości, odpowiedzialności i zaufania nie da się nauczyć z dnia na dzień.

Czy można naprawić błędy, które wydawały się nie do naprawienia? I czy największą życiową rewolucję może rozpocząć ktoś, kto ma zaledwie sześć lat?

Pełna ciepła, humoru i emocji historia o ojcostwie, które nie zaczyna się w dniu narodzin dziecka, lecz w chwili, gdy odważysz się naprawdę być obecny.

Patronat medialny:

Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka!

Æěňă-ŷŷ-ŷŷ-żn

ISBN 978-83-8364-224-6